

Modlitwa serca

przez kartuza



Na poniższą książeczkę składają się dwa listy napisane przez pewnego kartuza do pewnej mniszki kartuskiej. Oba dotyczą – ujętej bardzo szeroko – praktyki modlitwy serca, która w Polsce znana jest również jako Modlitwa Jezusowa.

Tłumaczenie zostało wykonane na podstawie wydania Monastères de Bethléem z lipca 2008 roku.

Wszystkie cytaty z Pisma Świętego podane są za Biblią Tysiąclecia, z modyfikacjami tam, gdzie polski przekład odbiega znacznie od francuskiego, do którego odnosi się autor.

Fragmenc z Listu św. Brunona do Randulfa przytoczony jest w tłumaczeniu z francuskiego, które komentuje autor. Całość tego listu przełożył z oryginału Rafał Witkowski; opublikowano ją w tomie „Najstarsze pisma kartuzów” Wydawnictwa Benedyktynów Tynieckich w 1997 roku.

Spis treści

MODLITWA SERCA	4
Abba, niech się święci Imię Twoje	5
Widzieć sercem.....	6
Oczyszczenie serca oczyszczenie całego człowieka przez serce	8
Moje ciało miejsce spotkania ze Słowem Świątynia Ducha	10
Sam Duch modli się we mnie	12
Słabość odkrycie i spotkanie z czułością Ojca	14
Wejść w ciszę	17
MODLITWA TEOLOGALNA	19
Modlitwa celnika.....	31

MODLITWA SERCA

Poprosiłaś mnie, żebym Ci napisał o modlitwie serca. Kilka lat temu już mnie o to proszono; wtedy odpowiedziałem że przedmiot jest mi zbyt mało znany, żebym mógł się wypowiedzieć.

Od tamtego momentu minęło trochę czasu. Przyszło niewielkie doświadczenie, czy to dzięki temu co zaobserwowałem u innych, czy dzięki moim własnym odkryciom w poszukiwaniach Pana. Podzielę się więc z Tobą kilkoma spostrzeżeniami, prosząc Cię jednak, żebyś nie przywiązywała do nich zbyt wielkiej wagi.

Wiesz, że modlitwa serca jest owocem bardzo długiego doświadczenia w duchowości Kościoła Wschodniego. To co powiem, ma z pewnością punkty styczne z tą tradycją, jednak zdaję sobie sprawę, że moja praktyka ma charakter bardzo osobisty. Nie jest to być może prawdziwa modlitwa serca.

Nie będę się starał określać sztywnej ramy, czy stabilnej struktury. Chciałbym raczej wyznaczyć kierunek; drogę, którą należy iść, ale co do której nie można z góry przewidzieć gdzie się skończy. Modlitwa serca nie jest celem do osiągnięcia. Jest sposobem bycia; sposobem, dzięki któremu słuchamy i idziemy naprzód.

Na początku, zanim zaczniesz czytać, jeśli chcesz, pomódl się i poproś Ducha Świętego o światło dla Ciebie i dla mnie. Moim pragnieniem jest tylko być Mu pomocnym, kiedy On chce przyjść do nas ze światłem.

Abba, niech się święci Imię Twoje

Kiedy się modłę, nie zwracam się do Boga filozofów, ani nawet, w pewnym sensie, do Boga teologów. Zwracam się do mojego Ojca, czy lepiej: do naszego Ojca. Żeby wyrazić się jeszcze dokładniej – zwracam się do Tego, którego Jezus nazywał bardzo intymnie *Abba*. Kiedy uczniowie prosili Go żeby ich nauczył się modlić, Pan powiedział po prostu: *Kiedy się modlicie, mówcie: Abba...*

Nazywać tak Boga znaczy mieć pewność, że się jest kochanym. Taką pewność, która nie sytuuje się na poziomie mądrych idei, ale na poziomie wewnętrznego przekonania. Wydaje się nam, że doszliśmy do tej pewności – Wiary – na drodze pewnego ciągu refleksji, medytacji, wewnętrznego nasłuchiwania. Ostatecznie jednak ta pewność jest darem. W głębi serca wierzymy w miłość dlatego, że to sam Ojciec wysłał nam swojego Ducha, bo teraz Jego Syn jest już uwielbiony.

Ojciec mnie kocha, dlatego mogę się do Niego zwrócić bezpiecznie, z pełnym zaufaniem. Nie przychodzę podpierając się moimi zasługami czy moją racją. Przychodzę ufny w nieskończoną czułość *Abby* Jezusa dla swojego Syna, wiedząc, że jest on także moim *Abba*.

On jest Ojcem. Co to znaczy? To znaczy że daje życie. Daje nie jak przedmiot różny od Niego samego, z którego robiłby prezent. Daje życie, dając samego Siebie. Jedynym darem, który może ofiarować, jest jego własna Osoba. Wynikiem tego daru jest Syn. Syn, który Go kocha bez miary. Syn, dla którego Ojciec ma wyłącznie czułość i który w zamian jest cały czułością dla swojego Ojca.

Oto *Abba*, do którego się zwracam. Jedyny, który może obdarzyć mnie życiem; życiem na wzór Jego życia. On w tym właśnie momencie, który trwa, chce żebym był na Jego obraz i podobieństwo – nie na zasadzie zewnętrznego dostosowania, ale ponieważ rodzi mnie czerpiąc z tego, czym sam żyje.

To właśnie chcę powiedzieć, kiedy Go proszę: *Abba, niech się święci Imię Twoje*. Obyś był doskonale sobą, *Abba*, we mnie. Oby Twoje Imię Ojca realizowało się doskonale w relacji, która tką się między nami. *Abba*, proszę Cię żebyś był moim Ojcem, żebyś mnie rodził na Twój obraz i podobieństwo, z czystej miłości. Żebym w zamian, dzięki Twojej łasce, mógł stać się cały czułością „zwróconą ku Tobie”.

Modlitwa serca jest sposobem na przybranie wobec Ojca postawy, która Mu pozwoli uświęcić we mnie swoje Imię. We mnie i we wszystkich Jego dzieciach. W Jego jedynym Synu, złożonym z Jedyne go i ze wszystkich Jego braci.

Modlić się to przyjąć Ojca i uczestniczyć w życiu, które On daje nam przez łaskę. Przyjąć Ojca, czyli pozwolić Mu zrodzić Syna, zrodzić Jego Królestwo w moim sercu. W ten sposób Duch Boży będzie mógł ustanowić pomiędzy mną i Ojcem niezniszczalną więź; więź jedności która rozszerzy się na wszystkich moich braci.

Widzieć sercem

Jaką drogą pójdziemy, żeby trafić na to spotkanie z Ojcem, o którym marzymy? Jakie środki dał nam On do dyspozycji? Czy jest to może inteligencja, zdolność poznawania i myślenia? Posłuchajmy odpowiedzi Jezusa: *Wysławiam Cię, Ojcze, Panie nieba i ziemi, że zakryłeś te rzeczy przed mądrymi i roztroptnymi, a objawiłeś je tym, którzy są jak małe dzieci. Tak, Ojcze, gdyż takie było Twoje upodobanie* (Mt 11,25-26). Oto rzecz zaskakująca: droga jest zamknięta dla inteligentnych, tych którzy umieją dobrze rozumować i kalkulować. To nie im Bóg obiecał objawienie swoich tajemnic.

Czy to jednak nie Bóg dał nam głowę, możliwość myślenia, przedstawiania sobie rzeczy, wyobrażania sobie ich, jako środek do wejścia w kontakt z innymi?

Owszem, te zdolności zostały nam dane przez Boga. Są dobre. Są konieczne. Nie pogardzajmy nimi. Nie lekceważmy ich. Umiejmy równocześnie zdać sobie sprawę z ich ograniczeń.

Kiedy myślę o danym problemie – powiedzmy precyzyjniej, o bliskiej mi osobie – używając głowy, a nie serca, trzymam tę osobę na odległość. Ujmuję ją myślą, przedstawiam sobie z różnych stron, manipuluję na potrzeby mojej analizy, w nic się z tą osobą równocześnie nie wdaję. W zasadzie się nie angażuję; zachowuję bezpieczny dystans. Robię wszystko, co w mojej mocy, żeby tym sposobem poznać tę osobę. Równocześnie nie chcę być pociągnięty, czy „zarażony” promieniowaniem jakie mogłoby mieć jej serce. Chcę pozostać wolny w stosunku do niej. W pewnych przypadkach ta metoda jest być może dobra. Jeśli chcę kochać, nie jest to jednak na pewno odpowiednia droga.

Jezus mówi dalej: *Wszystko przekazał mi Ojciec mój. Nikt nie zna Syna, tylko Ojciec, ani Ojca nikt nie zna, tylko Syn i ten, komu Syn zechce objawić* (Mt 11,27). *Wszystko przekazał mi Ojciec*: to znaczy dokładnie, że między Ojcem a Synem wszelki dystans został zniesiony. Żaden z nich nie starał się zabezpieczyć przed drugim. Zgodzili się na wzajemne zaangażowanie. Dzięki temu mogą się nawzajem poznawać tym poznaniem miłości, które jest przedstawione jako misterium dostępne tylko wtajemniczonym: *Nikt nie zna Syna, tylko Ojciec, ani Ojca nikt nie zna, tylko Syn*. Nikt nie zna, bo nikt nie otwiera swojego serca. Jeżeli chcemy poznać Ojca, konieczna jest zgoda na otrzymanie tego poznania od Syna – w takiej mierze w jakiej On widzi, że nasze serce jest gotowe je przyjąć.

Żeby naprawdę poznać Ojca, trzeba mi więc zrezygnować z moich zabezpieczeń. Muszę wyeliminować dystans, który myśli i wszystkie wyobrażenia pozwalały mi zachowywać w stosunku do Niego. Muszę przyznać, że jestem wrażliwy. Tę właśnie wrażliwość, którą tak dobrze ukrywałem, trzeba mi zaakceptować w pełnym świetle. Życ nią; to znaczy pozwolić się uzewnętrznić prawdziwym reakcjom mojego serca. Od tej chwili będzie dla mnie możliwe wejście w relację z Ojcem i z Synem... i ze wszystkimi moimi braćmi.

W praktyce znaczy to, że muszę się dobrowolnie umiejscowić na poziomie serca. Muszę mu dać prawo do istnienia, do zaznaczania swojej obecności, wyrażania się na sposób jemu właściwy, czyli poprzez głębokie uczucia: zaufanie, radość, entuzjazm, ale również strach, czasem trwogę, gniew. Nie jest to równoznaczne z życiem na poziomie powierzchownej uczuciowości. Przeciwnie, oznacza zgodę na rozwinięcie się w nas tych głębokich prądów które nas unoszą na spotkanie, w całej prawdzie, z drugim. Oto co znaczy „być jak małe dziecko”: jak ktoś, kto wyraża siebie spontanicznie i kto daje się pochwycić miłości osoby, którą spotyka. Jakże trudno nam zebrać się na odwagę, żeby być jak małe dziecko!

Te spostrzeżenia są zgodne w równym stopniu z linią Ewangelii, co z linią zwyczajnego procesu psychologicznego. Oba poziomy nie są oczywiście tożsame, ale uzupełniają się i przenikają. To, czego nam trzeba, to moc wszystkiego osiągnąć spojrzeniem miłości, jakie Jezus ma na stworzenia i nawet na Osoby boskie. Oto co dla mnie znaczy „widzieć sercem”: zgodzić się, żeby Jezus objawiał mi Ojca w jedynej przestrzeni, która we mnie może to objawienie

przyjąć. Tam gdzie, zgodnie z moją ludzką naturą, jest we mnie obraz intymnej relacji pomiędzy Ojcem i Synem – w moim sercu.

Oczyszczenie serca **oczyszczenie całego człowieka przez serce**

Nie trzeba długo żyć, ani długo prowadzić życia duchowego, żeby dobrze wiedzieć, że jesteśmy więźniami niemal bezgranicznego świata nieporządków: grzechów, zaburzeń równowagi afektywnej, niezagojonych ran, niezdrowych przyzwyczajzeń itd. To wszystko są braki w czystości naszego serca.

Przed chwilą powiedzieliśmy, że językiem naszego serca są emocje. Wszystkie nieporządki które przywołałem powyżej skutkują bałaganem w sferze emocji. Wyrażają się one prawie bez naszej wiedzy, rządzą nami, rozdzierają nas; zamykają na Boga, skazując nas na coś w rodzaju automatyzmu zła. I wszystko to pochodzi z naszego serca! *To, co z ust wychodzi, pochodzi z serca, i to czyni człowieka nieczystym. Z serca bowiem pochodzą złe myśli, zabójstwa... To właśnie czyni człowieka nieczystym* (Mt 15,18-20). Jeśli chcę się pozbyć brudu zalegającego moje jestestwo, muszę najpierw oczyścić serce.

Wobec tej pilnej potrzeby uporządkowania, uciekamy się zwykle do tego co można by nazwać „ascezą klasyczną”. Jest to wypróbowana technika, udoskonalona przez długie pokolenia mnichów, chrześcijan, ludzi dobrej woli zdecydowanych zerwać z niewolnictwem, którego doświadczają w samych sobie. Odwołuje się ona do wszystkich zasobów naszej woli, naszej energii i wytrwałości, oświeconych wiarą i miłością. Asceza ta ma swoje zasługi i nigdy nie należy rezygnować z jej wsparcia. Ma ona jednak również pewne ograniczenia.

Szczególnie kiedy chodzi o prawdziwe oczyszczenie serca, nie można się zatrzymać na tych ludzkich technikach. Przeczytajmy w związku z tym zachęty świętego Brunona dla jego przyjaciela Randulfa: *Co zatem uczynić, drogi przyjacielu? Co uczynić innego, niż uwierzyć Bożym radom, uwierzyć Prawdzie która nie umie kłamać? Mówi wszak do każdego człowieka: >Przyjdźcie do mnie wszyscy, którzy utrudzeni i obciążeni jesteście, a Ja was pokrzepię< (Mt 11,28). Czy nie jest trudem straszliwym a niekoniecznym, być dręczonym przez własne pożądania, bez końca przyjmować ciosy zmartwień i trwogi, strachu i bólu który te pożądania rodzą? Jakież ciężar gorszy od tego,*

który ducha w jego najwyższej godności ciągnie ku dołom, i to tak niesprawiedliwie? (List do Randulfa 9). Istnieje więc taka forma oczyszczenia, w której przede wszystkim trzeba się zwrócić ku Jezusowi, przyjść do Niego, aby znaleźć wytchnienie. Wzywa nas On do siebie właśnie tuż po tym, jak poprosił żebyśmy zrezygnowali z bycia mądrymi i roztroprnymi, by stać się jak małe dzieci. Wstąpić na drogę serca to uznać, że jedyna prawdziwa czystość jest darem Jezusa.

Weźcie na siebie moje jarzmo i uczcie się ode Mnie, bo jestem cichy i pokorny sercem, a znajdziecie ukojenie dla dusz waszych (Mt 11,29). Zasadnicze oczyszczenie ma miejsce wtedy, kiedy wszystkie skazy, wszystkie nieporządki przez które cierpimy, wychodzą na wierzch, na spotkanie Jezusa. Nie jest to łatwiejsze niż klasyczna asceza, jest jednak skuteczniejsze – gdyż skłania nas, żeby się oprzeć na prawdzie. Na prawdzie o nas samych, bo jesteśmy zmuszeni otworzyć oczy na rzeczywistość naszego grzechu; na prawdzie o Jezusie, który jest Zbawcą naszych dusz. Ratuje nas On nie w sposób ogólny i odległy, ale przez bezpośredni kontakt z każdym z nieporządków które nas trapią. Trzeba mi więc się nauczyć Mu je ofiarowywać, oddawać bez zastrzeżeń – czy to kiedy dają o sobie konkretnie znać, czy też poprzez stałe ukierunkowanie ruchu głębi mojego serca, pragnącego w końcu odnaleźć wolność.

Za każdym więc razem, kiedy stwierdzam w sobie jeden z tych paraliżujących mnie więzów, nie jest wcale najważniejsze wydać mu wojnę. Najczęściej wtedy udałoby mi się ledwie obciąć kilka gałęzi, nie docierając do korzeni. To, co jest ważne, to odkopać korzenie, wydobyć je na światło – jakkolwiek brzydkie czy odpychające by one nie były. Chodzi dokładnie o to, żeby przyjąć ich realne istnienie i móc suwerennym gestem powierzyć je Zbawicielowi. W tej perspektywie klasyczne wezwanie: *Jezusie, Synu Boga żywego, zmiłuj się nade mną grzesznym* – jest dalekie od ryzyka daremnego powtarzania. Stwierdzamy po prostu wciąż na nowo, że spotkanie pomiędzy oczyszczającym Sercem Jezusa a moim zbrukanym sercem wydarzy się jeszcze raz.

To jasne, że jest w tym procesie element czysto ludzkiej psychologii. Dlaczego miałyby nas to szokować? Czyż dzieło łaski nie kształtuje się zawsze na bazie natury? Staje się ona, w tym przypadku, podstawą dla Odkupienia dokonującego w moim sercu przemiany, zabliznienia ran, poprzez osobiste spotkanie ze zmartwychwstałym Jezusem. Dzięki temu przyzwyczajamy się

powracać do Niego bez końca, szczególnie kiedy znajdujemy się sami ze sobą w sferze rzeczy niejasnych, mrocznych, niepokojących.

Taka postawa serca na początku przeraża. W zbyt wielu przypadkach zostaliśmy nauczeni, że Panu można ofiarować tylko dobre rzeczy, rzeczy ładne. Nic, co nie jest aktem cnoty, nie może Mu być przedstawione. Czy jednak takie podejście nie stoi w sprzeczności z prawdą Ewangelii? Jezus mówi, że przyszedł nie do dobrze się mających, ale do chorych. Trzeba więc, bez fałszywego wstydu, nauczyć się być przed boskim lekarzem prawdziwymi chorymi. Rozpoznać uczciwie to, co realnie jest w nas fałszywe, kłamliwe, co przeciwstawia się Bogu. Tylko On może nas uleczyć.

Moje ciało miejsce spotkania ze Słowem Świątynia Ducha

Chcielibyśmy często potraktować symbolicznie wyrażenie „modlitwa serca”. Mówienie o sercu miałoby być obrazowym sposobem przywołania jakiejś rzeczywistości wewnętrznej, czyli duchowej. Nie jest to poprawna interpretacja. Wszystkie poruszenia serca, które stanowią podstawę naszej relacji z Ojcem, są połączone z naszym „ja” dotykającym, materialnym. Wiemy z doświadczenia – czasem nawet płacimy za nie zdrowiem – że naprawdę głębokie emocje dotyczą naszego serca fizycznego. Wstąpienie na drogę modlitwy serca nie jest możliwe, jeżeli nie zgodzimy się żyć świadomie i konsekwentnie w naszym ciele.

Bóg nas takimi uczynił. Opis Księgi Rodzaju przedstawia Pana kształtującego człowieka z gliny i stwierdzającego z całym przekonaniem, że ta materialna istota jest naprawdę na Jego obraz i podobieństwo. Nasze ciało nie jest przeszkodą w relacji z Bogiem. Przeciwnie, jest ono dziełem Boga, który właśnie nas ustanowił swoimi dziećmi – powołanymi do przyjęcia Go, Jego samego, w wiecznym dziedzictwie.

Cała ekonomia Wcielenia Syna Bożego stawia nas w tej perspektywie. Kościół pierwszych wieków bronił konsekwentnie wiary, że Jezus jest naprawdę człowiekiem. On w swoim ludzkim ciele żył, nauczał, cierpiał, umarł i zmartwychwstał.

To ludzkie działanie Słowa Bożego dało nam i wciąż każdego dnia daje życie. Słowo Boga przychodzi do nas z ludzką mową. Nasz grzech nie jest oczyszczony w sposób symboliczny, ale przez przelanie krwi, która wypłynęła z boku Jezusa. On naprawdę umarł i zmartwychwstał cieleśnie. Właśnie to materialne zmartwychwstanie ratuje zarówno nasze dusze, jak i ciała.

W końcu, Duch nie został nam dany wcześniej niż po zmartwychwstaniu Syna w ciele. To On, syn Marii, wysłał nam Ducha od Ojca. To nie Słowo niestworzone, ale Słowo wcielone, po tym jak stało się uczestnikiem naszego sposobu istnienia, jak zostało jednym z nas.

Doświadczamy tego Wcielenia codziennie: przez sakramenty, liturgię, życie wspólnoty, przynależność do ciała Kościoła. To wszystko jest punktem stycznym, obecnością cielesnej rzeczywistości Chrystusa w naszym życiu. Umiejmy więc przyjąć Go takiego, jakim do nas przychodzi. Jezus zwraca się do nas w naszym ciele. Nie śpieszmy się z próbami pozbycia się pośrednictwa ciała, które mamy skłonność uważać za nieczystość w relacji z Bogiem. To nieprawda: ono nie jest nieczystością, lecz właśnie miejscem spotkania z naszym *Abba*.

Nie da się sobie wyobrazić życia wspólnoty, gdyby nasi bracia byli odcieleśnionymi istotami, czystymi duchami, z którymi kontaktowalibyśmy się bez pośrednictwa fizyczności. Podobnie, odrzucilibyśmy rzeczywistość miłości Bożej gdybyśmy nie chcieli brać pod uwagę, że Syn Boży przychodzi do nas w swojej kondycji cielesnej, materialnej, która ma swój ciężar. Eucharystia jest celebracją aktu Jezusa skutkującego głęboką przemianą w Jego Ciele i Krwi – nie opuszczając ich ani nie przekraczając, lecz nadając im ich pełne znaczenie. One są materialną rzeczywistością tego, kim jest Syn Boży. Podobnie nasze ciało, z jego ciężkością, ograniczeniami, przeciwnościami, jest rzeczywistością tego, czym jesteśmy. To moje ciało wchodzi w kontakt z tą inną rzeczywistością, o której Jezus powiedział: *To jest Ciało moje*. Spotkanie dwóch rzeczywistości cielesnych ustanawia relację życia pomiędzy mną i Bogiem.

Jeżeli nie będziecie spożywali Ciała Syna Człowieczego i nie będziecie pili Krwi Jego, nie będziecie mieli życia w sobie... Jak Mnie posłał żyjący Ojciec, a Ja żyję przez Ojca, tak i ten, kto Mnie spożywa, będzie żył przeze Mnie (Jn 6,54.57).

W konsekwencji, nie mogę się modlić inaczej niż w moim ciele. Nie mogę wziąć w nawias mojej wcielonej rzeczywistości, kiedy zwracam się do Boga. Nie jest tylko kwestią religijnej dyscypliny, że uczymy się pewnych gestów, że określa się warunki materialne pomocne w modlitwie. Odpowiada to jedynej prawdziwej rzeczywistości: Bóg mnie kocha takim, jakim mnie stworzył. Dlaczego chciałbym być bardziej uduchowiony od Niego?

Uczę się więc przeżywać w moim ciele całe spektrum konieczności. Jedzenie, relaks, sen, choroba, limit sił... Nic z tego nie jest przeszkodą pomiędzy mną a Bogiem. Przeciwnie, to wszystko tworzy osnowę tkaniny: zapewnia niezawodną ciągłość pomiędzy intymną Bożą prawdą i moją codziennością. Kto z nas nie ma doświadczenia – czasem bardzo trudnego – bycia ograniczonym, prawie uwięzionym, na przykład przez problemy zdrowotne? I o ile nasze serce jest uczciwe, możemy powiedzieć tylko jedno: to Bóg przychodzi do nas w tych bolesnych przeciwnościach. Są one naprawdę miejscem zakorzenienia miłości Bożej w naszym życiu. Nasze serce przyjmuje Boga w tej mierze, w jakiej jest uważne na tę rzeczywistość – którą chcielibyśmy mimo to uważać za coś poniżej naszego duchowego powołania. Wystrzegajmy się ustawicznego łgarstwa, które Księżę kłamstwa chce wsączyć w nasze serca. Nie udawajmy czystych duchów. Umiejmy być kimś o wiele większym: jesteśmy dziećmi Boga.

Sam Duch modli się we mnie

Mówimy o modlitwie. Ale czy umiemy się modlić? Czy w ogóle wiem, czym jest prawdziwa modlitwa? Uczciwie muszę wyznać, że nie wiem tego. W głębi czuję wezwanie w konkretnym kierunku, ale pozostaję w ciemności.

Na szczęście, *Duch przychodzi z pomocą naszej słabości. Gdy bowiem nie umiemy się modlić tak, jak trzeba, sam Duch przyczynia się za nami w błaganiach, których nie można wyrazić słowami. Ten zaś, który przenika serca, zna zamiar Ducha i wie, że przyczynia się On za świętymi zgodnie z wolą Bożą (Rz 8,26-27).*

Modlitwa jest w moim sercu. Wytryska z mojego serca. A jednak nie jest tylko moim własnym dziełem. Duch został mi dany; jest rozlany w moim sercu i to On modli się we mnie. Duch przychodzi z serca Boga, pragnąc rozpaścić ten sam płomień, który tam płonie, również w moim sercu.

Znamy wszystkie pasáže u świętego Pawła, które o tym przypominają. Czy jednak nie mamy tendencji, żeby odczytywać je w sposób nazbyt teoretyczny? Żeby wyrazić się szlachetniej, mówimy, że dotyczą one „rzeczywistości wiary”, czyli rzeczy, o których jesteśmy przekonani, ale które przeżywamy w całkowitej ciemności. Obecność Ducha w moim sercu miałaby się sytuować w sferze Bożej, do której nie mam dostępu inaczej niż przez przyjęte z zewnątrz intelektualne stwierdzenia. Rzeczywistość tej obecności wymykałaby się zupełnie mojemu doświadczeniu, pozostając w sferze czystej wiary. Czy naprawdę właśnie to chciał powiedzieć święty Paweł?

Czy może należy, w reakcji na to przerysowane ujęcie, ogłosić że całe autentyczne życie chrześcijańskie jest *doświadczeniem* Ducha, na wzór Apostołów otrzymujących języki Ognia o poranku Pięćdziesiątnicy? Kościół nigdy tak nie nauczał. Właściwe podejście znajduje się pomiędzy tymi dwoma skrajnościami: postawa dostępna dla wszystkich chrześcijan, w życiu których działa Duch. Jego obecność wpływa bezpośrednio na nasz sposób bycia, na nasze relacje miłości, na naszą modlitwę.

Jeżeli przyjrzymy się jeszcze raz poszczególnym etapom, o których mówiłem, zauważymy pewien proces. Zrezygnować z uznawania intelektu za centrum naszej modlitewnej aktywności, z wyobrażeń, systemów myślowych. Otworzyć serce. Odkryć w nim nieuporządkowany świat emocji i zranień, zamieszkujących je i potrzebujących oczyszczenia. Odkryliśmy też, że istnieje praktyczna możliwość włączenia wszystkich tych ran w ruch Odkupienia, poprzez wydobycie je na światło i świadome ofiarowanie Jezusowi.

W ten sposób, nawet ich nie nazywając, stwierdzamy w nas poruszenia Ducha. Jeśli możemy zrobić to wszystko co wymieniłem, to znaczy że Duch w nas działa. To on pozwala nam wyodrębnić w splątanej sieci naszych emocji to, co cierpliwie i wytrwale powinniśmy powierzać oczyszczającej, wskrzeszającej łasce Zbawiciela. To wszystko o czym mówiliśmy jest już dziełem Ducha. Kontynuujmy w tej linii. Poza wszystkimi nieuporządkowanymi poruszeniami serca, szczególnie od momentu kiedy Jezus zaczyna przywracać w nich równowagę, możemy dostrzec również te mniej chaotyczne. Stopniowo układają się one w całkowitym porządku; chociaż nie zdajemy sobie z tego sprawy, głębia naszego serca uczy się spontanicznie zwracać w kierunku Pana. Dopiero po czasie, przyglądając się temu co się z nami działo, stwierdzamy że Duch Pański cicho i dyskretnie działał w naszym sercu. A w miarę jak naszą

głębie wypełnia pokój, budzi się tam również pewna tajemnicza dynamika, z którą można się nauczyć współpracować.

Tak oto przyzwyczajamy się troszczyć o *wszystkie* odruchy naszego serca – te dobre, te mniej dobre i nawet te złe – aby je skierować ku Bogu. Niektóre pochodzą bezpośrednio od Ojca i do Niego powracają. Inne potrzebują przemienienia, zanurzenia w śmierci i zmartwychwstaniu Jezusa. Wszystkie chcą być świadomie włączone w dynamikę Ducha rozlanego w naszych sercach. Chodzi o to, aby nabyć uważności na poruszenia serca, żeby móc je dobrowolnie i świadomie zjednoczyć z działaniem w nas Ducha Świętego.

To wszystko nie wymaga żadnej nadzwyczajnej „łaski mistycznej”. Wystarczy w łagodności i prostocie przyznać, że mamy żyjące serce. I że możemy jego życie powierzyć Duchowi Świętemu, żeby pociągnął je za Sobą ku Ojcu.

Święty Paweł mówi, że Duch przyczynia się za nami w błaganiach, których nie można wyrazić słowami. To ostatnie zasługuje na naszą uwagę. Zwykłym działaniem Ducha nie jest dawanie nam jasnych pojęć, ani dawanie nam światła, ani w ogóle dawanie nam czegokolwiek. Dziełem Ducha jest pociągnąć nas ku Ojcu. *Wszyscy ci, których prowadzi Duch Boży, są synami Boga. Nie otrzymaliście przecież ducha niewoli, aby się znowu pogrążyć w bojaźni. Ale otrzymaliście Ducha przybrania za synów, w którym możemy wołać ›Abba! Ojcze!‹* (Rz 8,14-15). Duch jest Świadkiem; jest dynamiką, która się nam udziela. Nie próbujmy Go definiować, śledzić czy chwytać – nie chcemy Go kontrolować. Byłoby to równoznaczne z wypłoszeniem Go z naszego serca, zgaszeniem Go. Pozostawmy Mu wolność wznoszenia w nas Jego modlitwy. Będzie ona swoista dla Ducha: przysłonięta, ukryta i tajemnicza; a poznamy ją po owocach. Zauważymy, że uczymy się modlić; że nie wiedzieć czemu staliśmy się zdolni, aby prosić Boga i być wysłuchanymi. Będzie to dla nas znak że – mimo wszystkich naszych oczywistych słabości – modli się w nas Duch.

Słabość odkrycie i spotkanie z czułością Ojca

Przejrzyjmy w tym momencie pewne główne wątki dotychczasowej refleksji. Spróbujmy je zebrać, stanowią one bowiem o postawie fundamentalnej dla modlitwy serca.

Spontanycznym odruchem każdej ludzkiej istoty jest bać się swoich słabości. Kiedy zdajemy sobie sprawę, że w tej czy innej dziedzinie nie możemy liczyć na własne siły, zagnieżdza się w nas niepokój zdolny czasem przerodzić się w prawdziwą trwogę. Tymczasem wszystko, co powiedzieliśmy do tej pory prowadzi nas właśnie do utraty osobistej strefy bezpieczeństwa. Mówiliśmy o naszej wrażliwości, ukrytych nieporządkach, o ograniczeniach naszej kondycji stworzeń, itd. Za każdym razem powiedzieliśmy sobie, że jest tylko jedno rozwiązanie: uznać naszą rzeczywistość i powierzyć ją pieczy Pana.

Przypomnijmy sobie historię o uciszeniu burzy. Apostołowie są przerażeni sztormem wstrząsającym łódką i budzą śpiącego Jezusa. Ten zwraca się do nich i pyta zdziwiony: *Czemu tak bojaźliwi jesteście, małej wiary?* (Mt 8, 26). Po czym jednym ruchem ucisza fale.

Dlaczego więc miałbym się bać moich słabości? One istnieją. Długo nie chciałem na nie patrzeć. Potem, powoli, zacząłem się z nimi oswajać. Teraz przyznaję, że są rzeczywiście częścią mnie. To nie coś, co na mnie przyszło z zewnątrz i czego mógłbym się kiedyś definitywnie pozbyć. Co więcej, gdybym miał skłonność, by o nich zapominać, Ojciec zatroszczy się żeby mi je przypomnieć. Dopuści taką czy inną winę, wobec której nie będę mógł zaprzeczyć mojej kondycji grzesznika. Pozwoli mojemu zdrowiu płatać mi figle, tak że będę musiał uznać się za pokonanego i powierzyć bez zastrzeżeń miłości Ojca. Będę mógł się przekonać niewątpliwie, jak bardzo moje możliwości są ograniczone.

Nowość postawy, o której mówimy, polega na tym, że odtąd słabości nie stanowią zagrożenia. Przeciwnie, są okazją do wejścia w kontakt z Bogiem. To jest powodem dla którego warto dać się im oswoić. Nie widzieć już w nich niepokojącej strony mojej osobowości, lecz raczej wymiar chciany, albo dopuszczony, przez Ojca. Nie są one czymś akceptowalnym „w ostateczności”: słabość jest fundamentalną strukturą z porządku życia bożego, takiego jakie jest mi ono ofiarowane. Jeśli znajdę się nagle twarzą w twarz z jakąś moją ułomnością, której wcześniej nie odkryłem, od tej pory moim pierwszym odruchem nie będzie ucieczka. Zastanowię się po prostu, gdzie jest w niej ukryty Ojciec.

Jak więc nie zadać sobie jeszcze jednego pytania? Ta przemiana słabości, mającej wszelkie znamiona porażki, w triumf Miłości, byłaby więc formą „poprawki”, przez którą Bóg zmieniałby zło w dobro? Czy przeciwnie, w obliczu słabości mamy do czynienia z jednym z ważnych wymiarów Bożego porządku?

W tej dziedzinie byłoby wiele do powiedzenia. Zadowolmy się prostym stwierdzeniem, że nawet w porządku naturalnym każda autentyczna miłość jest zwycięstwem słabości. Miłość nie polega na dominacji, posiadaniu, narzucaniu się kochanej osobie. Kochać, znaczy przyjąć bez zastrzeżeń drugiego, który do mnie przychodzi. W zamian ma się również pewność bycia w pełni przyjętym, nie będąc ani sądzonym, ani potępianym, ani porównywanym. Pomiedzy dwiema kochającymi się istotami nie ma już próby sił. Pojawia się rodzaj wzajemnego poznania poprzez wnętrze, które usuwa strach przed jakimkolwiek niebezpieczeństwem z drugiej strony.

Doświadczenie takie, choć zawsze pozostaje niedoskonałe, może być bardzo przekonujące. A przecież nie jest ono niczym innym, niż małym odbłaskiem rzeczywistości Bożej. Być może zaczęliśmy już naprawdę w głębi serca wierzyć w nieskończoną czułość Ojca. Od tego momentu czujemy się w jakimś sensie zobowiązani, żeby iść coraz dalej w radosnej, pozytywnej akceptacji naszego braku posiadania, braku wiedzy, braku władzy. Nie ma w tym nic z niezdrowego upokarzania się. Zanurzamy się po prostu w świat miłości i zaufania. Prawie nie zdając sobie z tego sprawy, wchodzimy w komunie z życiem Bożym. Relacje pomiędzy Ojcem, Synem i Duchem są, na poziomie przekraczającym całkowicie nasze pojmowanie, doskonałą formą tej słabości przyjętej w komunii bez zastrzeżeń.

Wewnętrzna czułość po trzykroć Świętego Boga objawia w bliższy nam sposób relacja wcielonego Syna do jego Ojca. Czy nie uderza nas pogoda, niezachwiane poczucie bezpieczeństwa z jakim Jezus mówi, że nic nie posiada i że nic nie mógłby uczynić, gdyby nie widział Ojca czyniącego? Jaki człowiek zgodziłby się na takie ogołocenie? Czyż nie jest to jednak wskazówka również dla nas? To tą drogą mamy iść, jeśli pragniemy życia dla naszego serca – takiego jakim Ojciec je stworzył i jakie przemienia przez śmierć i zmartwychwstanie swojego Syna.

Maria wskazuje nam ten sam kierunek. Jej Magnificat jest równocześnie pieśnią triumfalną i stwierdzeniem totalnego ogołocenia. Te dwie rzeczy idą w parze. Od samego początku, Maria rozpoznała i zaakceptowała swoją całkowitą słabość. W tej postawie mogła przyjąć Syna ofiarowanego jej przez Ojca. To ona stała się Matką Bożą, ponieważ to ona jest najbliższa ubóstwu Bożemu.

Wejść w ciszę

Jeśli podążamy drogą, o której mówię, aktywność intelektualna w czasie modlitwy stopniowo się uspokoi. Podobnie, w miarę jak emocje się kanalizują, różnego rodzaju rozproszenia czy dywagacje tracą rację bytu. Znaczy to, że modlitwa serca, prawie spontanicznie, kieruje nas ku ciszy. W pewne dni jej doświadczenie jest silniejsze – i w sposób nieunikniony jesteśmy wystawieni na, jeśli można tak powiedzieć, „pokusę ciszy”.

Cisza jest dobrem, które uwodzi każde serce od momentu kiedy mogło jej posmakować. Istnieje jednak wiele postaci ciszy. Nie wszystkie są dobroczynne. Większość z nich to raczej deformacje niż prawdziwa modlitwa ciszy.

Pierwszą pokusą jest zrobić z ciszy *działanie*, nawet jeśli jesteśmy głęboko przekonani że nic nie robimy. Skoro intelekt jest zatrzymany, skoro serce wydaje się być w spoczynku, wyobrażamy sobie że osiągnęliśmy prawdziwą ciszę naszego „ja”. W rzeczywistości cisza ta, nawet jeśli posiada niekwestionowaną autentyczność, wynika z napięcia woli – które jest najsubtelniejszym, lecz najbardziej szkodliwym działaniem. Nasze serce nie jest dostępne; działanie woli utrzymuje je w sztucznej postawie, która ostatecznie nie potrafi przyjąć Pana, bo opiera się na własnych siłach. Dla osób o energicznej woli może to stanowić poważną przeszkodę w otwarciu się na Boga. Mówiąc po ludzku, osiągają one wielkie wyciszenie, jest to jednak cisza skoncentrowana na sobie, oparta na sobie samej.

Inna pokusa polega na uczynieniu z ciszy *celu*. Wyobrażamy sobie, że racją bytu modlitwy serca czy nawet całej egzystencji kontemplatywnej jest cisza. Zatrzymujemy się na rzeczywistości materialnej. Nie poświęcamy uwagi Osobie Ojca, czy Syna, czy Ducha. To *mój* stan się liczy, a nie relacja miłości i otwartości, którą mam z Bogiem. Nie jest to już wtedy modlitwa, lecz kontemplacja siebie samego.

Pokusą podobną do poprzedniej jest wziąć ciszę za rzeczywistość samą w sobie. Cisza sobie wystarcza. W momencie kiedy wszystkie odgłosy zmysłów, intelektu, wyobraźni cichną, pojawia się w nas autentyczne uczucie przyjemności... i ono wystarczy. Nie szukamy niczego więcej. Odmawiamy poszukiwania czegoś innego. Wszystko, co wprowadziłoby ponownie jakąkolwiek ideę, nawet dotyczącą Pana, nawet pochodzącą od Niego, wydaje się być

przeszkodą. W tym momencie jedyną boską rzeczywistością jest dla nas cisza. Nie ma już modlitwy: stworzyliśmy złotego cielca, którego nazwaliśmy ciszą.

Nie zmienia to faktu, że prawdziwa cisza jest czymś niezwykle ważnym, co należy bardzo wysoko cenić. Jeżeli chcemy wejść w tę autentyczną ciszę, trzeba jednak z całego serca wyrzec się ciszy. Nie trwonić jej, nie pogardzać nią, nie rezygnować z jej poszukiwania – ale nie obierać jej za swój cel.

Przede wszystkim trzeba unikać wiary, że cisza jest efektem mojego osobistego wytwórstwa. Cisza nie jest dziełem, które mogę doprowadzić do końca i cieszyć się rezultatem. Zbyt często wyobrażamy sobie, że cisza polega wyłącznie na zaprowadzeniu spokoju w sferze moich władz intelektualnych, w wyobraźni, w zmysłowości. Jest to jeden z aspektów ciszy, lecz nie cała cisza. Trzeba jeszcze, żeby głębia naszego serca, w tej mierze w jakiej jest tożsama z wolą, przebywała w ciszy. Żeby każde pragnienie inne niż realizować wolę Ojca zostało uciszone. To znaczy że moja wola, zamiast z napięciem narzucać się reszcie mojej ludzkiej egzystencji, staje się sama czystą dyspozycyjnością, słuchaniem, gościnną przestrzenią. Wtedy pojawia się możliwość bycia, wejścia w prawdziwą ciszę całego jestestwa wobec Boga. Cisza ta rodzi się, kiedy głębia mojego „ja” odpowiada Ojcu, Którego jest obrazem i podobieństwem.

Bóg sam wystarczy: wszystko inne jest niczym. Autentyczna cisza jest manifestacją tej fundamentalnej rzeczywistości wszelkiej modlitwy. W sercu naprawdę panuje cisza, od kiedy znikną z niego wszystkie nieczystości przeciwstawiające się Królowaniu Ojca. Prawdziwa cisza zakorzenia się tylko w czystym sercu, w sercu upodobnionym do Serca Boga.

Dlatego rzeczywiście czyste serce może zachowywać całkowitą ciszę nawet kiedy jest zanurzone w wielu aktywnościach – gdyż nie ma już dysonansu między nim a Bogiem. Nawet jeśli inteligencja i zmysły działają, aby pozostać w zgodzie z Wolą Bożą, prawdziwa cisza wciąż panuje w takim sercu.

Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądać będą.

Boże Narodzenie 1983

MODLITWA TEOLOGALNA

Kilka lat temu próbowałem coś powiedzieć o modlitwie serca. Było to tylko wprowadzenie do tematu bardzo szerokiego, zbyt szerokiego być może. Jest to temat prosty, a my mamy zawsze kłopot z rozpoznaniem i nazwaniem rzeczy prostych. Dzisiaj chciałbym Ci napisać o modlitwie teologalnej, co jest tak naprawdę innym podejściem do modlitwy serca.

Co oznacza formuła „modlitwa teologalna”?

Chce ona przywołać ukierunkowanie serca, które opiera się na trzech cnotach teologalnych: wierze, nadziei i miłości. Przypuszczam, że oznacza to dla Ciebie coś dosyć konkretnego. Są to w skrócie zdolności, które Bóg daje nam z łaski, żebyśmy mogli Go osiągnąć – *Jego* bezpośrednio. Inne cnoty, cnoty moralne, dotyczą środków pomagających nam na drodze do Boga.

Odnajdujemy tu zasadniczą orientację modlitwy serca. Mierzy ona bezpośrednio w Serce Boga. To moje serce, w głębi, poszukuje osobistego spotkania z Bogiem. Nie tylko kontaktu afektywnego, doświadczenia bożej czułości i dobroci – które miałyby miejsce niewątpliwie w głębi i w ukryciu, ale wciąż na ludzkim poziomie. Nie chodzi do końca o to. Chciałbym tutaj przywołać możliwość daną nam przez Ojca: przychodzi On do nas i bez środków ani pośredników następuje spotkanie, gdyż On go chce i uzdalnia nas do niego.

Być może chciałabyś mnie zatrzymać w tym momencie z pytaniem: „Po co się rozwodzić o rzeczach tak oczywistych? Modlić się to szukać Boga, dążyć do tak bezpośredniego jak tylko się da spotkania między Nim a mną, w Miłości.” Wydaje mi się jednak że zbyt często, zamiast modlić się w ten sposób, marnujemy czas i energię na aktywności które zachowują tylko pozory modlitwy. Już nie Bóg, ale „ja” każdego z nas z osobna staje się obiektem naszych starań. Wszyscy przechodzimy przez takie doświadczenie, jednak być może zbyt rzadko wyciągamy z niego należne wnioski. Pozwól mi tytułem ilustracji opowiedzieć Ci pewną historię, którą sam przeżyłem.

W toku ewolucji mojej modlitwy zdarzyła mi się przygoda, do której podobne mają też inni. Na mnie zrobiła wielkie wrażenie i ukierunkowała całe moje dalsze losy, tak że wydaje mi się pożyteczne poświęcić jej kilka słów. Byłem wtedy nastolatkiem. Pewnego dnia, pozornie przez przypadek, natknąłem się na zbiór pism świętej Teresy z Avila. Ta lektura przemieniła moje życie. Jakby sprawiła, że w moim sercu nagle wytrysnęło źródło. Trudno byłoby mi wtedy opisać jego zawartość, wiedziałem jednak, że ustanawia ono między mną a Bogiem głęboką i prawdziwą więź.

To źródło było wystarczająco obfite, aby zagarnąć całą moją egzystencję. To ono zaprowadziło mnie do mojej celi kartuza. Odpowiadało tam na wszystkie potrzeby, zarówno ciszy jak i liturgii. Mogłem, nawet nie stawiając sobie pytań, zawsze wrócić do mojego źródła i nigdy się nie zawiodłem.

Aż pewnego dnia zarysowała się, po czym umocniła wątpliwość. Co właściwie oferowało mi to źródło? Czy rzeczywiście odpowiadało na najgłębsze pragnienie mojego serca? Inaczej mówiąc, czy to Boga w nim spotykałem? Czy może – i tu pytanie stawało się bolesne – znajdowałem w nim raczej samego siebie? Nawet jeżeli docierało do mnie w ten sposób odbicie Boże, pociągające mnie od lat. Sprawa stawała się coraz bardziej klarowna : to źródło nie było Bogiem, a przecież to Jego samego pragnąłem. Trzeba mi więc było opuścić moje cenne źródło. Gdyby to było możliwe, wysuszyłbym je, zatkał, gdyż odczuwałem je teraz jako przeszkodę. W moim sercu zajmowało miejsce Boga. Wtedy to odkryłem konieczność znalezienia środka, postawy serca, która pozwoliłaby otworzyć drzwi prowadzące wprost do Boga. On pukał do mnie od dawna, ale na próżno: bo w modlitwie zajmowałem się głównie sobą.

Opisałem szeroko ten epizod, żeby dać przykład tego, co wydaje mi się jedną z nieuniknionych pułapek samotności. Pod pretekstem szukania Boga, ostatecznie znajdujemy samych siebie i jesteśmy uszczęśliwieni. Jak uniknąć tego potrzasku?

Jeszcze jedna trudność rzuca mi się w oczy, tak w moim własnym życiu jak i w doświadczeniu religijnym znanych mi ludzi. Nawet jeśli nasze relacje z otoczeniem są serdeczne, nie możemy powiedzieć że jesteśmy zawsze gotowi nawiązać prawdziwie osobistą więź. A jeżeli tak jest w moich stosunkach

z bratem, którego widzę, jak mogę myśleć że to samo nie stanie się z Bogiem, którego nie widzę? Sakrament brata okazuje się skuteczny z pewnością w dziedzinie autentycznego spotkania z naszym Ukochanym Panem. Pewna ilość oczywistości wymyka nam się łatwo kiedy staramy się przygotować w sercu drogi Najwyższemu. Zaletą sakramentu brata jest to, że sytuuje się na poziomie, gdzie trudno te oczywistości zignorować.

Cóż więc mi mówi doświadczenie spotkania z bratem? Czy jestem wystarczająco gościnnie, żeby pozwolić mu wniknąć w moje głębokie „ja”? Czy przeciwnie – otoczyłem się zaporami i pancerzami, które mają go odrzucić? Te wewnętrzne fortyfikacje są częścią mojej ukrytej fizjonomii. Odgrywają więc nieuchronnie rolę w modlitwie i przeszkadzają w drodze Panu, szukającemu dojścia do sanktuarium mojego seca.

Jeśli przyjrzeć się teraz tym moim spotkaniom z bratem, kiedy to ja staram się do niego zwrócić, czy wychodzi mi to lepiej? Nie wydaje mi się. Wystarczy pomyśleć o wszystkich formach agresji którymi się instynktownie posługuję. Zbyt często moja postawa pozbawiona jest szacunku, delikatnej i kochającej uwagi, których miałyby prawo ode mnie oczekiwać. Być może wciąż jeszcze bierze się to ze strachu przed nim lub przede mną samym. Nie zmienia to faktu, że te odruchy mają wpływ na moje relacje z bratem – jak również z Panem.

Proszę o wybaczenie, że poświęcam tyle czasu rozważaniom, które wydają Ci się może nudne albo zniechęcające. Dostaliśmy jednak od Jezusa tę radę: *Zanim się zacznie budować wieżę, trzeba najpierw usiąść i obliczyć wydatki. Żeby nie zaangażować się w przedsięwzięcie przekraczające własne możliwości i nie być zmuszonym do porzucenia budowy w połowie* (patrz Łk 14,28m). Podobnie jest w naszym przypadku. Czy nie byłoby przewrotnym żartem mówić o budowie wieży osobistego spotkania z Panem, nie zastanawiając się nawet czy mamy wolny teren żeby położyć fundament? Załóżmy, że dążę do tego, żeby rzeczywiście spotkać się z Ojcem w wolności dziecka Bożego. Na próżno jednak – o ile od początku nie uświadomię sobie jak wiele krępuje mnie więzów, i że uwolnienie się od nich jest poważnym zadaniem. Ostatecznie, zadanie to będzie mógł dokończyć sam tylko Pan.

Naprawdę mam wrażenie, że nie jestem dla Boga bardzo atrakcyjnym partnerem. Czy jednak właśnie takiej konstatacji On się po mnie spodziewa? Bóg wysłał swojego Syna, żeby mnie spotkać, mnie takiego jakim jestem, w rzeczywistości w której żyję, dzisiaj. Skoro tak, trzeba na sytuację spojrzeć z wiarą. Czy zamiarem Boga jest wejść w komunię z istotami bez skazy, bez wad, bez słabości? Czy może nie mówi nam właśnie czegoś dokładnie odwrotnego? Ojciec wysłał Syna, żeby wziął nas na ramiona, tak zagubionych i poranionych, jak tylko moglibyśmy być, i żeby nas przyprowadził do owczarni. Źródłem wielkiej radości jest tam widok grzeszników przyjmujących Jezusa w swoim sercu.

W ten sposób zbliżamy się powoli do tego, co konstytuuje modlitwę teologalną. Spotykam się z Bogiem wewnątrz mojego rzeczywistego, aktualnego bytu. On przychodzi do mnie nie po to, żeby mnie odrzucić czy potępić, ale żeby uczynić mnie swoim dzieckiem, zrodzonym z Niego w wierze. *Tym jednak, którzy Je przyjęli, dało moc, aby się stali dziećmi Bożymi* (J 1, 12). Po trzykroć święty Bóg nie stawia jako warunek mojej doskonałości. Nie oczekuje, że będę miał mu do ofiarowania minione, godne podziwu uczynki albo obietnice przyszłych usług. To wszystko Go nie interesuje. Nie stawia żadnego warunku. Jedynym elementem koniecznym, żeby narodziny mogły mieć miejsce, jest moja wiara w Jego miłość i szczerą pragnienie bycia przemienionym. Jeśli mogę Mu ofiarować ziarnko tej wiary, wszystko jest możliwe!

To proste. To nieskończenie proste. I być może dlatego sprawa jest dla mnie taka trudna. To trochę jak z Syryjczykiem Naamanem. Był gotów sprostać wszelkim trudnym wymaganiom, a nie może nawet dopuścić myśli, że Bóg chce go uzdrowić zwykłą kąpielą w Jordanie, jeśli zaufa słowu Elizeusza.

O ileż bardziej by mi się podobało, móc powiedzieć że jakość spotkania z Bogiem jest moim dziełem. Byłyby to moje zalety, moje cnoty, które podobają się Bogu i przyciągają Go do mnie. To dzięki moim wysiłkom stałbym się święty we własnych oczach i w oczach Najwyższego. Czyż nie jest to program zdolny nas uwieść, nawet gdyby był kosztowny i wymagający?

Tymczasem plan zaproponowany przez Boga zbija nas z tropu tak bardzo, że wahamy się bez końca zanim go podejmiemy. I jeśli stawiamy już nieśmiało

pierwsze kroki, trudno nam się pozbyć wrażenia, że naszemu pragnieniu podobania się Bogu brakuje powagi.

Czy sens pierwszego z Błogosławieństw nie leży właśnie tu? *Błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem do nich należy Królestwo niebieskie* (Mt 5,3). Jakie królestwo, jeśli nie to o które prosimy tysiące razy w „Ojcze Nasz”? *Ojcze, niech się święci Twoje Imię, niech przyjdzie Twoje Królestwo*. Ofiarowane nam Królestwo oznacza możliwość uświęcenia Imienia Ojca. Móc Mu powiedzieć, że naprawdę jest naszym Ojcem, bo rodzi nas jako swoje dzieci. Trzeba tylko stać się ubogim. A my się boimy. Wszyscy jesteśmy poddani pokusie młodzieńca, który odchodzi smutny, bowiem ma wiele bogactw. Nawet jeśli wszystkie nasze bogactwa są w fałszywej walucie, ich posiadanie nas uspokaja. Boimy się być ubodzy w duchu, radykalnie i aż do dna.

Oto być może główna przyczyna, dla której rezygnujemy z zaangażowania się na dobre w modlitwę serca. Wydaje nam się ponad siły stanąć przed Panem bez niczego do ofiarowania oprócz naszej biedy. To tej biedy się boimy: naszych zranień, naszej absolutnej duchowej nędzy, niemożności przekroczenia o własnych siłach przepaści dzielącej nas od Świętości Boga.

O tej właśnie drodze chcę mówić, bo wydaje mi się ona zgodna z tym, o co prosi nas Pan: dążyć do spotkania między Nim, jakim On rzeczywiście jest, a mną, takim jaki jestem w całej prawdzie.

Pierwsze pytanie: jak osiągnąć Boga takiego jaki jest?

Kiedy się o Nim mówi, często łatwiej jest odpowiedzieć w sposób negatywny niż pozytywny. Prościej jest powiedzieć, co nie jest Bogiem, niż powiedzieć czym jest Bóg. Upraszczając być może, przyznajmy że ostatecznie nie możemy się dowiedzieć, kim On naprawdę jest. Nie posiadamy, wśród naszych naturalnych zdolności, żadnego sposobu wejścia z Nim w bezpośredni kontakt. Czy sprawa jest więc z góry przegrana? Nie, ponieważ Wszechmogący od zawsze pragnie nas spotkać i angażuje się cały, żeby nas znaleźć.

Ja nie mogę Go osiągnąć moimi środkami. Lecz On, kiedy chce, potrafi przekroczyć nieskończony dydstans między nami. *Światłość prawdziwa*

oświeca każdego człowieka (J 1,9), mówi święty Jan. W głębi każdego ludzkiego serca błyszczy ten płomień, który jakby pytał: „Czy chcesz mnie?” Generalną odpowiedź zapisał również Jan: *Przyszło do swojej własności* (do Ciebie, do mnie...), *a swoi Go nie przyjęli* (J 1, 11). Dlatego Gospodarz winnicy wysyłał swoje sługi – proroków, których winogradnicy zabili. Po czym w końcu posłał Syna. To On, również dzisiaj, puka do drzwi Twojego serca.

Jezus, jeśli wolno mi tak powiedzieć, jest tylko tym: Tym, którego posłał Ojciec. To jedna z głównych myśli obecnych w modlitwie arcykapłańskiej (J 17): *Uwierzyli, żeś Ty Mnie posłał*. W momencie kiedy Jezus przekonał uczniów z całą pewnością, że jest Wysłannikiem Ojca, wypełnił swoją misję. Wraca do Ojca. Od tej pory między Nim a nami ustanowione jest trwałe przejście.

Co to za otwór, przebity w niebie, który pozwala dosięgnąć niedosiężnego Boga? To *wiara*. Nie widzi ona oblicza Ojca, ale w twarzy Jezusa wiara uczniów je dostrzegła. My też poprzez docierające do nas dziś słowa apostołów otrzymujemy świadectwo Jezusa: *Nie tylko za nimi proszę, ale i za tymi, którzy dzięki ich słowu będą wierzyć we Mnie; aby wszyscy stanowili jedno, jak Ty, Ojczy, we Mnie, a Ja w Tobie* (J 17,20-21).

Nasza wiara jest owocem modlitwy Jezusa. Jest przeświadczeniem serca zakorzenionym w Bogu samym, że Bóg przychodzi do nas teraz. Przychodzi poprzez swojego Syna, przez swoje Słowo, przez swój Kościół, swoje sakramenty, w Duchu który został nam dany raz na zawsze.

Tu jest kluczowy punkt: tylko wiara pozwala nam przyjąć naprawdę samego Boga przychodzącego do nas. Nie oświeca naszego rozumu na Jego temat. Pozostajemy w ciemnościach, ale jesteśmy bezpieczni. Odkryliśmy bowiem coś przewyższającego światła rozumu: Miłość Ojca, której rozum nie może pochwycić, ale której prawdę odkrywa w tej solidności, jaką daje mu wiara.

W wierze przemieniającej Twoje serce możesz więc przyjąć samego Boga, obecnego w Tobie przez swojego Ducha. *Miłość Boża rozlana jest w sercach naszych przez Ducha Świętego, który został nam dany* (Rz 5,5). Masz więc realny, skuteczny środek żeby *dosięgnąć Boga*. Dosięgnąć Go w osobie Ojca, Syna i Ducha, w ich czułości, wierności, w ich miłosierdziu dla Ciebie i dla całego stworzenia.

Być może jak dotąd wyczuwasz z mojej strony wahanie co do sposobu, w jaki wiara pojawia się i rośnie w naszym sercu. To prawda: chodzi o delikatną kwestię, której nie chciałbym utopić w długich teoretycznych wyjaśnieniach. W końcu stwierdziłem że najlepiej będzie po prostu spojrzeć na Jezusa w Ewangeliach. Historia Paschy daje nam dwa opisy godne w tym miejscu naszej uwagi.

Maria Magdalena i uczniowie z Emaus doszli do wiary w kontekstach pozornie różnych, ale poprzez bardzo podobny proces duchowy. Dlatego wydaje mi się uprawnione przyjąć te dwie historie jako opis duchowej drogi przeznaczonej każdemu z nas, o ile chcemy być wierni wezwaniu, które zaprowadziło nas na pustynię.

Spójrz na uczniów wieczorem idących ze smutkiem drogą z Jerozolimy do Emaus. Rozmawiają, dyskutują idąc prosto przed siebie, jednak ich serce jest smutne, zanurzone w mroku, przygniecione zniechęceniem. Ich życie było dotąd rozjaśnione nauką Jezusa; ale On umarł, naprawdę umarł. Dokąd teraz mają się zwrócić?

I oto Jezus pojawia się znowu u ich boku. Nie rozpoznają Go, ale dyskretnie, od pierwszego słowa, odzyskuje miejsce w ich sercach, które rozpała nowy płomień. Potem nagle, kiedy tajemniczy nieznajomy przełamuje chleb, olśnienie: to On! I chociaż już zniknął, w ich sercach błyszczy wiara; taka wiara, która już nigdy nie zgaśnie.

Coś podobnego przydarza się Marii Magdalenie. Zrozpaczona, nie mogąc nawet odzyskać ciała Ukrzyżowanego, płacze przed wejściem do grobu. Ona też, jak się wydaje, straciła autentyczną wiarę w żyjącego Jezusa. Gnębi ją jedno: skradziono jego ciało. Gdyby mogła je odnaleźć, zabrałaby je, bo w jej oczach to wszystko, co pozostaje po Umiłowanym Panu.

Nagle On tu jest, lecz ona Go nie rozpoznaje. Czy w ogóle spróbowała na Niego spojrzeć, zatopiona w myślach o odzyskaniu ciała? Czy tak naprawdę była w stanie przypuścić, że ten nieznajomy mógłby być Nim? Wystarczy jednak słowo *Mario!*, żeby rozbłysło światło. Może ją odpychać, odsyłać daleko od siebie – nic nie odbierze Magdalenie pewności, która opanowała jej serce.

Tu właśnie wspomniane w Ewangelii historie odkrywają sekret, który pozwala wierze zrodzić się w naszym sercu. Wiara jest nam dana przez Jezusa, który z własnej inicjatywy przychodzi jakby w ukryciu. Nie dając się rozpoznać dotrzymuje nam towarzystwa, rozpala w nas Ogień, aż do chwili kiedy odkrywamy, że to On z nami jest – że objawił się inaczej niż się spodziewaliśmy. Niepodległy władzy śmierci, jest tutaj, naprawdę żywy, zmartwychwstały w naszym sercu.

Ledwie zdążyliśmy zdać sobie sprawę z tego cudu, kiedy już znika – lecz światło zapalone w naszym sercu pozostaje. Światło wiary, podarowany nam owoc Jego tajemniczej obecności, jest zdolne przetrwać próbę czasu, ciemność, przeciwności. Wiara to jasność płynąca z osoby Zmartwychwstałego, która w nas błyszczy i oświecla wszystko z czym mamy styczność. Wszystko zostaje włączone w tajemnicę zmartwychwstania, ponad śmiertelnymi cieniami które nas dotąd więziły.

Wiara jednak nie ogarnia równocześnie wszystkich głębi naszej duszy. Dociera jakby falami do kolejnych stref, które pozostają jeszcze w cieniu i za każdym razem powtarza się ten sam scenariusz. Odkrywamy pewnego dnia, że nasze życie modlitwy wydaje się być w ślepej uliczce. To prawda: środki, którymi dysponujemy, nie wystarczą, żeby pójść dalej. Ogarnia nas zniechęcenie i uczucie zagubienia. Tylko Jezus będzie mógł nas wyciągnąć z tego dołka. Skoro zyskamy to przekonanie, będzie to już znak, że On dołączył do nas na drodze i *wyklada nam, co we wszystkich Pismach odnosi się do Niego* (Łk 24, 27). W sposób tajemniczy Pan wsącza wiarę w nasze serce. Jeśli znika, to dlatego, że ciemności ustąpiły miejsca pokojowi, dyskretnej ale mocnej jasności. Nie rodzi się ona z naszego rozumowania, lecz jest darmowym darem Ducha, solidniejszym i czystszy niż wszystkie ludzkie źródła poczucia bezpieczeństwa.

Światło wiary wprowadza Cię więc, już dziś, do życia wiecznego. Tylko ono może to zrobić. Cała reszta pozostaje poniżej tego, co oferuje nam Bóg od czasu zmartwychwstania Jezusa. Wszystkie inne światła zrozumienia, wszystkie doświadczenia duchowe, na których chcielibyśmy się czasem oprzeć,

są niewątpliwie godne szacunku. Ostatecznie jednak stanowią źródło życia tylko w tej mierze, w jakiej przynoszą wiarę.

Wiara została nam dana przez Boga przy chrzcie. Jest to jednak dar, który On w nas pomnaża na tyle, na ile pragniemy go przyjąć i uczynić owocnym. Jeśli przez niewiedzę lub zaniedbanie pozostawiamy naszą wiarę bezczynną, rdzewieje i kosztuje. W tym czasie my trwonimy siły na duchowe praktyki, które bardziej nam się podobają, ale pozostają dla nas bezowocne.

Jeśli chcesz żyć z wiary, powinnaś rozwinąć w sobie tę, którą Duch Święty już w Tobie złożył. Bóg chce, żebyś z naciskiem i wytrwałością modliła się o przymnożenie wiary. Jest to modlitwa, co do której możemy mieć pewność bardziej niż jakiegokolwiek innej, że zostanie wysłuchana. Bóg, nieskończenie więcej niż ty, chce żebyś postępowała na drogach życia wiecznego. Nie zmienia to faktu, że, szczególnie w początkach, będziesz miała raczej wrażenie, iż Bóg nie spieszy się z zapewnieniem wzrostu Twojej wierze. Oznacza to, że jest ona jeszcze słaba i zanim zaczniesz roznać, potrzebuje wypuścić ukryte korzenie. Nie zniechęcaj się więc jeśli Twoje modlitwy wydają się nieskuteczne. Z pewnością takie nie są. Obudź w sobie tę wiarę, którą już nosisz w sobie, i wierz mocno, że Ojciec Niebieski już Cię wysłuchał.

Wtedy będziesz mogła coraz bardziej żyć w wierze. W czasie liturgii, w czasie cichej modlitwy, w pracy, Twoje serce łatwiej wejdzie w kontakt z Panem, jeśli będziesz *przyjmować od Niego* miłość być może pozbawioną blasku, często mało satysfakcjonującą, ale jak bardzo Bożą. Pan ofiaruje Ci tę miłość, jeśli otrzyma od Ciebie wiarę, a nie piękne idee czy gry Twoich odczuć. Nie mam żadnego triku do przekazania. Musisz prosić Boga, *w żywej wierze*, żeby On sam nauczył Cię modlić się. On zajmie Twoją uwagę, Twoje serce, nawet jeśli nie masz konkretnego obrazu, o który mogłyby się zaczepić. Żywy jest Bóg, w obecności którego przebywasz.

Zupełnie naturalnie, jeśli pozwalasz wierze rozwijać się w Twoim sercu, odkryjesz pewnego dnia, że działa w Tobie nadzieja. Była ona aktywna od samego początku, w tej mierze, w jakiej Twoja wiara opiera się na przekonaniu, że jesteś kochana przez Boga. Przekonanie to jest już postacią nadziei, od momentu kiedy nie chodzi tylko o poznawanie rzeczywistości bożej,

lecz o jasne postrzeganie jak wyraźnie Ty również istniejesz dla Boga. Jesteś w Jego oczach wartościowa. Jest gotów oddać całe światy w zamian za Ciebie jedną.

To punkt wyjścia nadziei: wiedzieć, że Bóg Cię kocha; właśnie Ciebie, w sposób jedyny i wyjątkowy. Nikt nie może zająć w Jego sercu Twojego miejsca. Oddał za Ciebie swojego Syna i wciąż Ci Go ofiarowuje, codziennie w eucharystycznej ofierze. Mocna tą pewnością, możesz zawsze o wszystko prosić Twojego Ojca, bez przerwy i bez wahania. O ile modlisz się w Imię Jezusa, będziesz z pewnością wysłuchana, a owoce Twojej modlitwy będą zawsze lepsze niż się spodziewasz.

Istnieje inny aspekt nadziei, który często wystawia na próbę naszą biedną ludzką niepewność. Odkąd wiem że Bóg kocha mnie wyjątkowo i w związku z tym troszczy się o moje życie, wszystko się zmienia. On kieruje mnie na nieznane ścieżki, gdzie zależę całkowicie od Jego światła, siły, od Jego miłości. Prosi mnie wtedy, w najbardziej podstawowym znaczeniu tego słowa, o zaufanie. Ufam Mu często w ciemności, w niepewności, lecz ostatecznie w pokoju... O ile nie wymykam się z Jego ręki, z Jego serca.

Błogosławieni, którzy wprowadzają pokój, albowiem oni będą nazwani synami Bożymi. Niezależnie od wszystkich niepokojów pochodzących od Ciebie czy od innych, Ojciec prosi Cię o pomoc w zaprowadzeniu pokoju w Twoim sercu. Z jednego powodu, mocniejszego od wszystkich ludzkich motywacji: dlatego że Cię kocha i nad Tobą czuwa. Jak wiele burz jest gotów uciszyć w Twoim sercu, jeśli usłyszysz Jego prośbę o zaufanie! Zostaniesz wtedy nazwana dzieckiem Bożym... i naprawdę nim będziesz (patrz 1 J 3,1).

Ta nadzieja jest ważna nie tylko dla Ciebie samej, lecz również dla wszystkich tych których kochasz. Jeśli wstawiasz się za nimi, identyfikujesz z ich potrzebami, a równocześnie z miłością jaką budzą w Sercu Boga. Będziesz wysłuchana na miarę zaufania, które masz do tej podwójnej miłości Pana do Ciebie i do tych, których kochasz.

Podobnie jak wiara, nadzieja nie jest naturalną zdolnością Twojego serca. Owszem, należy do Ciebie, ale jako darmowy prezent. Jest w Tobie od chrztu i powinna rosnąć, stawać się „zdolna do działania” za sprawą Ducha Świętego

oraz okazji, kiedy będziesz ją ćwiczyć. Ona ze swojej strony uczyni Cię dyspozycyjną i lekką w rękach Pana. Nie zapominaj jednak, że powinnaś z niej korzystać, pracować z nią, żeby to osiągnąć. A wtedy, co za radość wiedzieć – w wierze – że Pan znajduje w Tobie swoje szczęście!

Zostaje ostatnia z cnót teologalnych, największa, jak mówi święty Paweł: miłość. Gra ona jakby w trzech rejestrach: miłość do Pana, miłość do drugiego człowieka, miłość do siebie. Te trzy miłości nie są tym samym, wyrastają jednak z jednego korzenia: wszystkie trzy są na obraz wiecznej miłości, która łączy Ojca z Synem w Duchu. Dokładnie ten sam Duch jest nam dany na zawsze od czasu Pięćdziesiątnicy. On nam pozwala kochać tak, jak kochają Ojciec i Jezus.

Ta boża miłość ma oczywiście punkty wspólne z ludzką miłością, która jest w naszych sercach odbiciem Boga, skoro Bóg jest Miłością. Każda prawdziwa miłość, jakie by nie były jej ograniczenia, wskazuje na Boga choćby z daleka. Jednak boża miłość, która nas tu interesuje, bardziej jeszcze niż wiara i nadzieja jest nowym darem, pochodzącym bezpośrednio z Serca Boga. Nie jest ona żadną techniką, nawet jeśli trzeba nam po trochu uczyć się wprowadzać ją w konkret naszego życia. Nie jest techniką, lecz tą samą dynamiką, która sprawia, że istnieją Osoby boskie. Możemy w niej uczestniczyć, po to, byśmy żyli na ich obraz.

Rzeczywistość Twojej miłości weryfikuje spojrzenie, jakim ogarniasz drugą osobę: jeśli nie potrafisz jej potępić, odmówić szacunku, jeśli nie możesz jej nie podziwiać. Jesteś przed nią absolutnym ubóstwem, nie zatrzymując niczego, co możesz jej dać. Równocześnie pragniesz otrzymać od niej analogiczną pełnię, nie dlatego, że Ci się należy, lecz jako dopełnienie Twojej miłości.

Miłości teologalnej nie należy mylić z wielkimi porywami pasji, które wywołują błyskawice w głębi serca lub w zmysłach. Nie stoją one z zasady na przeszkodzie prawdziwej miłości; sytuują się jednak na innym poziomie. Prawdziwa miłość nigdy nie ustaje, ani w tym świecie ani w przyszłym. Wielkie pasje są jak morskie fale, gwałtowne, czasem potężne, ale zmienne. Mogą ustąpić miejsca zupełnemu bezruchowi.

Doświadczenie wydaje się mówić, że miłością najtrudniejszą do rozwinięcia w sercu jest ta do siebie samego. Nie ma ona nic wspólnego z miłością własną, z egoizmem, ze skupieniem na sobie. Jest darem Najwyższego, biorącym się stąd, że jesteśmy Jego dziećmi. Jakiej własnej nędzy nie bylibyśmy świadomi, w pewnym sensie nie liczy się ona wobec tego przebóstwienia. Skoro o nim wiemy, musi wywołać w nas zachwyt, radość, szacunek, miłość całkowicie jasną i przejrzystą. Nigdy nie lekceważ tej miłości do siebie samej; gdyby jej za bardzo brakowało, cała komunია z Bogiem cierpiałyby na tym.

Kiedy chcemy usłyszeć, co mówi Serce Boga o miłości do innych, trzeba przeczytać całą mowę pożegnalną Jezusa, cały pierwszy list świętego Jana... W życiu codziennym masz wciąż okazję praktykować tę miłość, ale powinnaś ją rozwijać, pogłębiać w modlitwie, otwierając wciąż bardziej Twoje serce na Serce Ojca i serce Jezusa.

Co do miłości Boga, jest ona jedynym celem tego, co piszę. Cel, którego otrzymaliśmy zadatek na początku życia duchowego, którego jednak nie osiągniemy w całości aż do Paruzji. Wtedy ciałem i duszą, w komunii ze świętymi, zobaczymy ofiarującego nam się Boga i będziemy gotowi Go przyjąć.

Po tym, jak krótko przywołałem charakterystykę każdej z cnót teologalnych, chciałbym Ci powiedzieć słowo o punkcie według mnie absolutnie wyróżniającym modlitwę teologalną. Na początku listu mówiłem, że ma ona na celu dosięgnąć Boga, *Jego samego*, bezpośrednio. To właśnie chciałbym uściślić. Modlitwa teologalna łączy nas osobistą relacją z Kimś, a nie z czymś. Jest prawdziwym spotkaniem między Tobą a Ojcem, albo Jego Synem, albo Ich Duchem. Dosięgasz ich już nie przez pośrednictwo idei – nawet najbardziej wysublimowanych – czy intelektualnej kontemplacji tajemnicy. Słowo Jezusa, od którego zaczyna się nasza wiara, zwraca ją prosto do Jego serca, bez kluczenia. Tym samym trafia na Ojca i na Pocieszyciela, w prostocie Bożej jedności.

Czy zwróciłaś uwagę, że przez całą Ewangelię Janową wymówka, którą Jezus adresuje do „Żydów”, niemogących albo niechających wierzyć, jest zawsze ta sama? Są niezdolni albo czynią się niezdolnymi Go przyjąć. Słyszają te same słowa co uczniowie, są świadkami tych samych znaków. Dziedziczą te same obietnice. Lecz pozostają z daleka od Jezusa; nie wchodzą z Nim w relację. Wszystko co robią, to rzutowanie na Niego własnych wyobrażeń i teorii. Nie patrzą na Niego samego, nie pozwalają Mu się napełnić światłem aż do dna serca. Nie wierzą. Pielęgnują idee, których czują się posiadaczami. Trzymają je na bezpieczny dystans od nowej rzeczywistości Bożego daru, który wymaga wyzbycia się wszystkiego i otwarcia serca na Osobę Jezusa.

Przeżywamy w pewnym stopniu to samo, o ile tak jak „Żydzi” trzymamy się kurczowo *rzeczy* stworzonych. Szukamy w nich uspokojenia, zamiast oddać się Osobie Boga, który nie ma *nic* do dania oprócz Siebie samego. Czy modlitwa teologalna nie jest właśnie tym darem z siebie, bez granic i bez zastrzeżeń, dla Tego który nas kocha?

Modlitwa celnika

Chcę się jej przyjrzeć dokładnie, gdyż jest to *par excellence* modlitwa teologalna. Zwraca się do Boga, i do Niego samego: *Boże, miej litość dla mnie, grzesznika*. Faryzeusz w swojej modlitwie rozwodzi się z przyjemnością nad własną osobą. Modlitwa celnika podoba się Bogu, sam Jezus to gwarantuje. To modlitwa, którą każdy z nas może uznać za swoją – nikt z nas nie ma *nic* innego do powiedzenia, jak przyzywać Boże miłosierdzie dla naszego grzesznego stanu.

W ten sposób możemy stwierdzić, a jest to bardzo ważne, że nasz grzech nigdy nie uniemożliwia nam stanięcia przed Ojcem miłosiernym. Wręcz przeciwnie! Tylko On może się nad nami zmiłować. W tajemnicy swojej czułości i mocy sprawi, że będziemy usprawiedliwieni, będziemy mili i przyjęci przychylnie. Wyłącznie ponieważ uwierzyliśmy, że On jest współczujący i miłosierny.

Chciałbym podkreślić ten punkt, bo wydaje mi się on być ośrodkiem modlitwy biednych potomków Adama, którymi jesteśmy. Zafalszowane tradycje

duchowe, zwichnięta „edukacja chrześcijańska” sprawia, że w ogromnej większości przypadków grzesznik jest głęboko przekonany, że w oczach Boga stracił prawo do istnienia. Najlepsze, co może zrobić, to uciekać, tak daleko jak to tylko możliwe, od nieubłaganego mściciela z Nieba.

Jakaż karykatura Ewangelii! *Bóg tak umiłował świat, że dał Syna jednorodzonego... nie po to aby świat potępił, ale po to, by świat został przez Niego zbawiony* (J 3, 16-17). Można by mnożyć cytaty z Ewangelii i z Listów o tym samym sensie. Grzech stał się probierzem nieskończonej głębi miłości Ojca do swoich dzieci.

Wszyscy mamy powołanie celnika, bo wszyscy jesteśmy grzesznikami zaproszonymi do bliskości z Bogiem. Nie mówi nam On: „Idź się najpierw oczyścić, a potem możesz stanąć przede mną”. Przeciwnie, jeśli uznajemy prawdę o naszej biedzie i zwracamy się do Jego miłosierdzia, woła nas: „Przyjdź, niech Cię oczyszcze. Przyjdź rozweselić moje serce i całe niebo”.

Paradoks bożej miłości jest tak mocny, że nie wydaje mi się przesadą widzieć modlitwę celnika jako jedyną normalną dla nas formę modlitwy teologalnej. Nigdy nie jesteśmy w stanie być przed Bogiem nie nosząc w sercu przeszkód: grzechów, śladów grzechu, trudności – mimowolnych acz realnych – w pełnieniu woli Bożej... Wszyscy i zawsze stajemy przed naszym Ojcem na sposób syna marnotrawnego – pewni, że weźmie nas w ramiona zanim jeszcze zaczniemy naszą samokrytykę.

Wiele można by powiedzieć w tym sensie o modlitwie uzdrowienia. O modlitwie tych niezliczonych grzeszników, ułomnych, chorych, których uzdrowienie opowiada nam Ewangelia. Dokonuje się ono poprzez obecność Jezusa, słowo Jego ust, prosty gest z Jego strony. Kto opowie wszystkie uzdrowienia, nagle czy stopniowe, zranionych dusz, uwięzionych serc, zbuntowanych wrażliwości? Zwracając się w tajemnej modlitwie bezpośrednio do Jezusa zostały uzdrowione, wskrzeszone – skoro uwierzyły w Niego, zaufały, starały się Go kochać.

W tych sytuacjach naprawdę jest to modlitwa teologalna. Wydarza się spotkanie z Synem Bożym, ma miejsce wymiana: *On bierze na siebie nasze*

słabości (zob. Mt 8, 17), a w zamian życie boże rozbłyska w naszych sercach. Nie otrzymujemy tylko pocieszenia – to swojego własnego życia czyni nas uczestnikami.

Czy nie jest również modlitwą celnika ta modlitwa, którą od wieków niestrudzenie powtarzają hezychasty, nazywając Modlitwą Jezusową? Jej formuła jest wręcz częściowo zaczerpnięta ze słów, jakie Jezus wkłada w usta celnika: *Jezusie, Synu Boży, zmiłuj się nade mną grzesznym*. Pokolenia mnichów nie miały innej modlitwy wewnętrznej. Doprowadziła ich ona do cichej intymności z Bogiem, w głębi ich ubóstwa.

Szukam, o Panie, Twojego oblicza; nie zakrywaj przede mną swej twarzy (Ps 27, 8-9). Ten werset psalmu, jak wiele innych, pozwala przeczuć głębokie pragnienie Boga ożywiające wiele serc. Czy znajdują one środki, żeby dotrzeć do tego czego szukają? Czy nie zbyt wiele z nich gubi się po drodze? Niektórzy, zmęczeni niepowodzeniem swoich starań, siadają zniechęceni na poboczu drogi.

Zadaję sobie pytanie, czy ci dryfujący poszukiwacze Boga otrzymują wystarczającą pomoc. To pytanie powinno ranić nasze serca. Oby miłosierny Ojciec wysłuchał naszej modlitwy za nich.

Kończąc, muszę wyznać że popełniłem nieroztropność pisząc ten list, którego przedmiot nieskończenie przekracza moje kompetencje. Proszę mi wybaczyć. Amen!

Adwent 1988